



## **Mityczny Elan, czyli nie sztuka złapać króliczka... Czerwiec 2007**

### **Telefon**

Nie upłynęły dwa miesiące, a znowu postawiłem stopę na chorwackiej ziemi. Telefon od Roberta, szybkie pakowanie i w czteroosobowym składzie ruszamy testować Elana 434 Impression. Wszyscy się cieszymy mając w pamięci nieudany czarter tej jednostki podczas majowego weekend'u. Tym razem jedziemy „na pewniaka”. Dzięki ofercie austriackiej firmy Blue Balu mamy do przeprowadzenia wymarzonego Elana z Dubrownika do Mariny Betina na wyspie Muter.

Humory dopisują, pierwsze zdjęcia robimy w Znojmo, gdzie w centrum handlowym Freeport znajduje wielka fototapeta przedstawiająca karaibskie palmy, plażę i morze. Telefony idą w ruch i po chwili w świat wysyłamy Mms'y z tekstem „pozdrowienia z Freeport”. Nikt nie ma wątpliwości, że to są Karaiby, co potwierdzają Sms'y zwrotne... Śmiechu mamy co niemiara. Droga upływa spokojnie i wczesnym rankiem dojeżdżamy do Betony. Chcemy zostawić tu samochód i autobusem dojechać do Dubrownika.

Ze względu na wczesną porę, a także brak transportu do Šibenika, gdzie znajduje się dworzec autobusowy, postanawiamy jechać tam samochodem i zostawić go na parkingu.

### **Podróż**

Godzina oczekiwania na autobus do Dubrownika mija szybko i rozpoczynamy naszą podróż chorwackim PKS'em. Z zewnątrz nasz środek transportu nie wygląda źle. Zajmujemy miejsca na tylnej osi i ruszamy. Obietnica klimatyzacji szybko przechodzi w sferę marzeń. Nie ma jeszcze 0900, a temperatura sięga 30 stopni. Myśl o jachcie rozgrzewa nas jeszcze bardziej, więc nikt nie narzeka.

Za oknem niczym w kalejdoskopie przesuwiają się góry, wioski, dworce autobusowe, miasta znane mi od strony portów i marin. Słońce coraz wyżej, a nam podróż zaczyna się powoli dłużyć. Nic to, tam na południu czeka nagroda...

Znosimy dzielnie trudy podróży i staramy się złapać trochę snu. Tak dojeżdżamy do miejscowości Podstrana. I tu pierwsza niespodzianka. Nadjeżdżający z naprzeciwka autobus zatrzymuje się obok nas. Kierowcy wymieniają kilka zdań. No tak, południe, nikomu się nie spieszy. Po chwili jednak wstaje konduktor i pyta: „kto do następnej miejscowości?” Kilka osób podnosi ręce i... ich podróż kończy się na ulicy. Wszyscy jesteśmy zdziwieni. Tym bardziej, że autobus zawraca na środku ulicy i kieruje się w zgoła przeciwnym kierunku.

Zagadka pozostanie zagadką. Wypadek, prace drogowe? Cokolwiek to nie było jedziemy przez góry. Droga zwęża się do „jednosamochodowej” nitki, z lewej skały z prawej przepaść. Ze względu na międzynarodowe towarzystwo przypomina mi się film „Touristas”... Upał robi się coraz większy, podłoga nad silnikiem grzeje jakby chciała nas usmażyć, autobus kolebie się swoim rytmem i możemy się cieszyć, że nie ma w nim kur i kóz...

Cały dzień mija nam w takiej atmosferze. Dojeżdżamy do granicy z Bośnią. Celnik kontroluje nas zdecydowanie ambitnie, może nawet zbyt jak na kilkunastokilometrowy tranzyt. Jesteśmy jednak zbyt zmęczeni, żeby się uśmiechać.

W Bośni widzimy polskie Honkery patroli saperskich, miłe, gdyby nie to, że nasi żołnierze wciąż ryzykują tu życie oczyszczając tereny z min. Kierowca natomiast zatrzymuje się przy sklepie i krzyczy „20 minut – shopping”. Ot folklor, ale jak mają taniej, dlaczego nie... Nas interesuje tylko Dubrownik.

Około 1800 widzimy cel naszej kilkudziesięciogodzinnej podróży, Perła Adriatyku przed nami. Przesiadamy się w miejski autobus i ruszamy do mariny. Elan czeka...

## **Elan**

Wchodzimy do mariny z uśmiechem na twarzach. Nareszcie dotarliśmy. Moja złamana ręka mniej przeszkadza, trudy podróży odeszły w zapomnienie, za chwilę rzucimy graty i napijemy się piwa, rano wypływamy. Nie zawsze jest jednak z górki...

Najpierw czekamy na opiekuna jachtu. Mija około 20 minut, jest. Dredy, kolczyki w kilku miejscach twarzy, Rasta „pełną gębą”. Niech mu będzie na zdrowie. Problem jest gdzie indziej. Nie ma Elana... Jak to nie ma? Ano nie ma. Co więcej nikt nie wie gdzie jest, nikt nie potrafi go znaleźć, prawdziwy „Latający Holender”.

Dzwonimy do naszego agenta, który jest zdziwiony nie mniej niż my. Sobota wieczór, nikt nic nie wie. Chorwacki Rasta spokojnie proponuje nam inny jacht, mówiąc weźcie ten, zapłaćcie, a rozliczycie się ze swoim agentem. Oczadział, jak mówił Pawlak... W międzyczasie jemy pizzę, bierzemy prysznic i dzwoniemy do agencji. Nikt nic nie wie... Może to i śmieszne, ale nie w sytuacji, kiedy ma się za sobą czterdziestogodzinną podróż. Nam do śmiechu nie jest, a negocjacje i wyjaśnienia trwają...

Tak mijają dwie godziny. Po długich rozmowach bierzemy taksówkę i... wracamy do Baški Vody, gdzie znaleziono nam jacht. Niestety nikt już nie mówi o Elanie. Na scenie pojawił się Mac Gregor 65. Ruszamy w drogę powrotną, tym razem z klimatyzacją i transmisją waterpolo, którego nasz kierowca jest wielbicielem. Dochodzi 0130, kiedy dojeżdżamy do mariny. Taka wycieczka kosztuje 2000 kun, gdyby ktoś chciał spróbować popłynąć w ten sposób. Wchodzimy na długiego i smukłego „Grzeška” i idziemy spać.

Rano zauważamy na stoliku nawigacyjnym tabuny mrówek, dochodzimy też do wniosku, że jest nas trochę mało jak na załogę Mac Gregora i postanawiamy powrócić do naszych negocjacji. Tuż przed południem znamy cel i cenę kolejnego etapu naszej wycieczki. Za 1800 kun wracamy do Šibenika. Tam w Marinie Mandolina czeka na nas Bawaria 44 i to jest na ten tydzień szczyt możliwości czarterowych firmy Blue Balu. Na miejscu meldujemy się o 1700, półtorej godziny zabierają nam formalności związane z check in'em (jacht nie był przygotowany do czarteru) i ruszamy wreszcie (sic!) na morze.

### **Post Scriptum**

Pierwszą mariną, która postanowiliśmy odwiedzić była Rogoźnica. Urokliwe miasteczko, w którym wielbiciele hucznych imprez też znajdują swoje miejsce.

Ja wspomnę tylko, że poniedziałek okazał się świętem narodowym i dniem wyczerpanych akumulatorów, co oznaczało dla nas kolejne telefony i zmuszanie serwisu z firmy czarterowej do dostarczenia nam nowego akumulatora. Oczywiście sami próbowaliśmy go kupić i w marinie i w mieście. Gdyby chodziło o piwo.... Tak staliśmy przy nabrzeżu do godziny 1600.

Wyszliśmy na wieczór w morze i na noc wiatr zawiódł nas na Veli Drvenik, gdzie odkryliśmy restaurację z wyśmienitymi ligniami (od piersu na lewo w górę).

Następne dni upłynęły nam pod znakiem słońca i ponad 20 węzłów wiatru każdego dnia. Na Vis z Milnej przemknęliśmy niczym ścigacz na jednym halsie, odwiedziliśmy Omiš, Brač i kilka innych urokliwych miejsc, które często pozostają poza czarterową marszrutą. Po raz kolejny sprawdziło się powiedzenie, że na jachcie najważniejszy jest dobry humor, a wszystkie trudności można wspólnie przezwyciężyć.

A co do rzeczy „nadprzyrodzonych”... Teraz już wiemy, że nawet piękny, wyśniony jacht może na naszych (prawie) oczach zmienić się w króliczka, który zniknie nam na łące pełnej wysokich traw. Może więc nie trzeba go ścigać, a lepiej złapać za rękę magika, który tą sztukę uczynił?